

- Autor: **Szymanderski Witold**
- Tytuł: **Ekspedycja**
- Wydawnictwo: Iskry, Vesper
- Seria: Ewa wzywa 07, Wzywam 07
- Zeszyt nr 40
- Rok wydania: 1972, 2008
- Nakład: 100260, bn
- Recenzent: [Norbert Jeziolowicz](#)



Archeolog jako zawód wysokiego ryzyka

„Ekspedycja” nie wygrałby konkursu na najgorszy zeszyt „Ewy”, ale też z drugiej strony z pewnością nie załapałaby się także do pierwszej pięćdziesiątki najlepszych osiągnięć serii. Poza tym, że autor nie był niewątpliwie mistrzem pisarskiego rzemiosła, to na dodatek na początku lat 70-tych wyprodukował zwykłego produkcyjniaka wyrastającego z ducha twórczości socrealistycznych pisarzy działających o jakieś dwadzieścia lat wcześniej. I nie pomogło nawet umieszczenie kryminalnej intrygi w wąskim środowisku ekspedycji archeologicznej prowadzącej wykopaliska na terenie prasłowiańskiego grodziska w Lubczy, co można nawet uznać za nawiązanie do klasyki Agathy Christie i zdecydowanie, jak na powieść milicyjną było zabiegiem nietuzinkowym.

Ale zaczynając od początku: w okolicach Lubczy odbywają się wykopaliska archeologiczne, którymi dowodzi docent Karpiak. Nie jest to zwyczajna wakacyjna praktyka studentów, ale miejsce w którym dokonana naprawdę znaczącego odkrycia naukowego. Już w roku poprzednim odnaleziono bowiem w grodzisku z okresu kultury łużyckiej dowody, iż hakowa konstrukcja wałów obronnych, którą łączono do tej pory z czasami Mieszka I, była już wykorzystywana na terenie dzisiejszej Polski prawie dwa tysiąclecia wcześniej. Informacja ta

brzmi dla przeciętnego czytelnika (a więc także dla autora recenzji) zapewne dość hermetycznie, ale w środowisku archeologów to prawdziwa bomba. Wystarczy powiedzieć, że odpowiedni referat docenta Karpiaka jest już tłumaczony do monografii kultury łużyckiej wydawanej właśnie w języku niemieckim, a on sam otrzymał zaproszenie na wygłoszenia cyklu wykładów na uniwersytecie w Regensburgu.

Po całodziennym trudzie i znoju na stanowisku archeologicznym uczestnicy ekspedycji korzystają z oferty rozrywkowej Lubczy. Należą do nich wizyty w nauczycielskim ośrodku wypoczynkowym o nowatorskiej nazwie „Nad Jeziorem” lub restauracji z wieczornym danciem o równie rzadko spotykanej nazwie „Zamkowa”. Poza tym czas płynie powoli, a wszyscy mieszkańcy taplają się w kleistej nudzie. Przytoczę tutaj cytat z noweli: „dni są tu podobne do siebie i jeśli nie zdarzy się nic szczególnego, choćby drobiazg – prawie nic nie zostaje z nich w pamięci”. Zresztą i wykopaliska zbliżają się do końca, ponieważ zdaniem docenta wszystko co warte było odnalezienia zostało już odkopane, a na dodatek dalsze prace w wykopach grożą zasypaniem uczestników ekspedycji. Akurat w przeddzień zakończenia ekspedycji, zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Najpierw pod nieobecność archeologów ktoś usiłuje dokonać włamania do ich pokoi, a następnie sytuacja eskaluje kończąc się zasypaniem w wykopie archeologicznym doktora Benedykta Tura, zastępcy kierownika ekipy.

Już po włamaniu śledztwo odpala z kopyta. Szef miejscowego posterunku - starszy sierżant Łukaszczyk – powtarza jak mantrę hasło „zawsze dobrze sprawdzić” i zgodnie z tym credo postępuje. Natomiast po ostatecznym wyjaśnieniu, że Benek Tur zmarł w wyniku morderstwa, a nie nieszczęśliwego wypadku, kierownictwo śledztwa przejmuje niejaki porucznik Szałapowicz. Aparat milicyjny opisany jest zaiste wielowymiarowo oraz malowniczo: meldunki z posterunku w Lubczy płyną do komendy powiatowej, a stamtąd do wojewódzkiej – odwrotną drogą idą w teren polecenia. Szymanderski nie omija zresztą żadnej okazji, aby pochylić się nad funkcjonariuszami pełniącymi ofiarnie swoją niełatwą służbę, tak że MO przestaje być zimną strukturą i uzyskuje konkretne (strudzone) twarze znanych nam z imienia i nazwiska funkcjonariuszy. Na każdym poziomie władzy mamy do czynienia wyłącznie z pasjonatami swojej pracy. Przełożeni dopuszczają nawet aby dwie niezależne ekipy zbadały ślady na miejscu zbrodni, ponieważ przynajmniej nie pominą żadnych śladów. Dzisiaj uznano by to zapewne za marnotrawienie pieniędzy podatników.

A co mnie tak naprawdę rozczarowało w tym zeszycie Ewy ? Otóż to, że wszystkie najważniejsze elementy fabuły są nienaturalnie naiwne. A już absolutne dno osiąga autor w zakończeniu, które swoim zaiste przesadnym optymizmem przebija nawet najbardziej szmirowate hollywoodzkie romanse klasy C. Morderca zostaje ujęty i oddany w ręce sprawiedliwości, wszystkie wątki kryminalne i uczuciowe docierają do szczęśliwego końca. Rozwiązanie spełnia także wymogi walki klasowej: morderca znaleziony zostaje w świecie naukowców, a nie w klasie robotniczej, której przedstawiciele nigdy by się na tak odrażający czyn nie zdobyli. Odpowiednio studenci oraz młodzież pracująca ma przewiny dużo mniejsze i mogą liczyć na wyrozumiałość władzy, chociaż sprawiają jej wiele kłopotów. I nawet Łukaszczyk, który rozważał kiedyś podejście do egzaminu wstępnego na archeologię (wszakże dysponuje maturą), przestaje tęsknić do kariery naukowej po obejrzeniu z bliska środowiska naukowców. Tym bardziej, że w dowód uznania za aktywny udział w śledztwie oraz cztery lata kierowania posterunkiem w Lubczy zostanie skierowany do szkoły oficerskiej.

Ale można także śmiało sparafrazować legendarne zdanie Prezesa Ochódzkiego: te wszystkie wielkie minusy nie powinny nam przesłonić kilku małych plusików, które nieco podnoszą ogólną ocenę „Ekspedycji”. I tak na przykład pochwalić można dość żywe i wiarygodne opisy Lubczy jako tła dla intrygi kryminalnej. Trzeba także przyznać, że autor nie poszedł na łatwiznę i naprawdę nieźle się przygotował, jeśli chodzi o znajomość archeologicznej praktyki: jakby od niechcenia używa takich fachowo brzmiących słów jak cales, profil lub na dostarcza czytelnikom opis codziennej rutyny prac archeologicznych, która w końcu nie polega na ordynarnym grzebaniu łopatą w ziemi. Tym samym Szymanderski nie uchronił się od podania kilku realiów codziennego życia bardzo prowincjonalnego Peerelu, jak kultywowanie zwyczaju południowej przerwy obiadowej w lokalnym sklepie spożywczym, czy też fakt, że w restauracji „Zamkowej” podają zimne piwo, chociaż nie była ona wyposażona w lodówkę, ale funkcję chłodzenia spełniała głęboka i ciemna piwnica.

Znajdujemy także odprysk znaczącej kiedyś subkultury autostopu. Otóż jeden milicjantów jako doświadczenia z przesłuchiwania autostopowiczów podaje także, iż wszyscy oni zawsze zupełnie odruchowo zapamiętują numery rejestracyjne zatrzymywanych samochodów i skąd one pochodzą. Co, jak można przypuszczać, może być dla organów ścigania niekiedy bardzo użyteczne.

Tak więc, nie jest to może książka, która dobrowolnie ktoś zabierze na bezludną wyspę, ale jeśli akurat już będzie się ona wałała na takiej wyspie, to rozbitek przeczyta ją zapewne bez szczególnej odrazy w przerwach w pracy przy robieniu tratwy.